

Głupi Maciuś (Józef Ignacy Kraszewski)

O tym głupim Maćku, o którym wam już nieraz może niańki i służące różne dziwne historyjki opowiadały, powiem i ja wam jedną, której może nie słyszeliście. Był sobie raz możny wieśniak, który miał trzech synów, dwóch rozumnych, a trzeciego wszyscy za głuptaska mieli. Ojciec wzdychał, matka płakała, patrząc na niego, bracia się śmiali, ludzie ramionami wzruszali i mówili: co z tego biedaka będzie? Maciek miał dobre serce, powolny był, posłuszny, pracowity, ale wygadać się jak drudzy nie umiał i co mu kto powiedział wszystkiemu wierzył. Poszedł w pole do roboty, a miał z sobą w kobiałce jedzenie, spotkał ubogiego, albo nawet głodne psisko, zaraz częstował, dzielił się, czasem wszystko oddał, a sam powracał na czczo. Ale śmiał się z tego i był wesoły, a drudzy też wyśmiewali się z niego. Nigdy się nawet i za to nie pogniewał i powiadał im: „na zdrowie!“ Litowano się nad nim powszechnie, bo stary ojciec przewidywał, że gdy mu umrzeć przyjdzie a Maciek zostanie sam na kawałku gruntu z gospodarstwem nie da sobie rady i zejdzie w prędko na dziady. Na opiekę starszych braci niewiele było można polegać, bo ci go lekceważyli, a o sobie tylko myśleli. Matka też popłakiwała nad przyszłym jego losem, martwiąc się, co z niego będzie.

Rodzice już nie byli młodzi, więc najpierw staruszka zmarła, a ojciec zatęskniwszy za nią, wkrótce po niej. Nim zaś nadeszła ostatnia godzina, zwołał jeszcze synów wszystkich do siebie, starszym zalecając aby nad Maćkiem opiekę mieli, nie opuszczali go, pamiętając, że on im jest rodzonym bratem.

Po śmierci ojca, pogrzebie i stypie, przyszło braciom dzielić się ojcowizną. Maciek tam oczywiście żadnego głosu nie miał, siadł pod piecem i mówił: „co mi dacie, to wezmę“.

Bracia, niedobrzy chłopcy, myśleli tylko jakby zbyć Maćka. Gruntu mu dawać nie chcieli, pieniędzy się nie znalazło w skrzyni, a gdyby i były jakie, pewnie by ich Maćkowi nie wydzielili... Z bydełka, roboczych wołów i koni, co było tego, potrzebowali do gospodarstwa, które między sobą na połowę rozdzielili. Maćka chcieli wykwitować lada czym i starszy, mu rzekł:

-Co ty tu będziesz robił? Głupi jesteś, poszedłbyś w świat po rozum, może byś go na drodze napotkał. My cię za parobka wziąć nie możemy, bo by ludzie na to źle patrzyli... Ruszaj sobie gdzie na służbę!



-Już ci, na drogę coś ci się da, rzekł młodszy, - abyś nie biedował póki służbę znajdziesz... Dostaniesz kożuszyne przynoszoną, a bodaj i starą... siermięgę po ojcu, a czapka też nieboszczyka niezła... no! i kij jego w dodatku, abyś się miał czym psom opędzać.

Nie bardzo się Maćkowi z tej chaty iść chciało do której przywykł, prosił więc, aby go choć za parobka lub pastucha u siebie zostawili, ale bracia się na to w żaden sposób zgodzić nie chcieli.

-Z ciebie dla naszego całego rodu tylko pośmiewisko; żaden z nas żony nie dostanie póki ty tu w chacie będziesz. Ruszaj, gdzie cię oczy poniosą!

Naglili tak istawiali, że w końcu zgodził się Maciek iść precz, byleby mu dali się czym okryć i jakiś grosz na drogę.

Gdy Maćka już w podróż trzeba było wyprawiać, bracia poszli do komory i wybierali odzienie co najstarsze i najgorsze, śmiejąc się, a opowiadając, że to jeszcze dla niego aż nadto dobre było. Maciek się ani spierał, ani napierał, brał co mu dawali. Dostał więc jak postanowili, starą kożuszykę wynoszoną po ojcu, starą jego siermięgę, czapkę baranią i kij, buty jedne podarte i parę łapci na zapas.

Nie straciwszy mimo to serca do braci, pięknie się z nimi pożegnał, starszego w rękę pocałował, młodszego uściskał, nawet z psem Burkiem, który go za wrota przeprowadził, przystojnie się rozgadał, no i poszedł w świat.

Na drogę dali mu bracia dziesięć trzygroszniaków.

Szedł więc głupi Maciuś polem, borem, gdzie go oczy niosły, ale najpierw zawrócił pod wsią na cmentarz, aby się na grobie ojca i matki pomodlić. A był dzień wiosenny piękny, i na tej Bożej roli tak kwiatki bujały i rosły, jak na najweselszej łące i pachniało dokoła i ptaszki śpiewały.

Znalazł Maciek w rogu cmentarza mogiłę, na niej krzyż, który on sam z drzewa wyciosał, przykląkł, zmówił Anioł Pański, a potem siadł odpoczywać i dumać. Kiedy tak sobie myśli o ojcu i matuli a o tym, co z sobą robić będzie i gdzie ma chleba szukać, patrzy, aż siadła na ogrodzeniu sroczka i kiwa do niego główką, jakby się z nim witała. Maciek się też jej pokłonił, bo sroka sroka, a każdemu dobrze życzył i nikogo minąć nie chciał. Patrzy on na nią, aż otworzyła dzióbek i rozpoczyna gawędkę:

-Jak się masz Maćku?

-Zdrowa bądź sroczko! Bóg zapłać.

-Coś to ty tak markotny?

-A no widzisz, szukam służby, nie wiem czy znajdę, braciom trzeba było ojcowizny ustąpić, idę w świat.

-No, no - odezwała się siedząca na płocie, - przecież ty tak biedny nie jesteś. Ojciec wiedział dobrze, że ci bracia dadzą pewnie jego starą siermięgę.

Popatrz no w niej dobrze; całe życie w nią dukaty zaszywał. Rozpruj rękawy i kołnierz, znajdziesz za co sobie chatynkę i kawał gruntu kupić...

Zakręciła sroka ogonkiem, zaśmiała się i poleciała. Myśli więc Maciek, - a może to i prawda! Bo ptaki różne rzeczy wiedzą. Wziął się więc do siermięgi i zaczął pruć, aż posypały się obrączkowe dukaty, a było ich tyle, że w podolek od koszuli związawszy je, nazbierało się z pół garnca.

Podziękowawszy ojcu, poszedł wprost Maciek do bliskiego dworu i chatę z ogrodem, jak należy, i z kawałkiem gruntu kupił, a jeszcze mu garść została na początek gospodarstwa. Trzeba było i koni i wołów i owieczki i świnki i wszystkiego, co w podwórku i chlewkach być powinno. Musiał iść na targ do miasteczka, a że mu bez chłopca w chacie trudno było samemu, a trafił się

sierotka, wziął go sobie do pomocy. Dopiero ani dnia ani nocy nie szczędząc, do roboty wziął się Maciek, jak to na swym własnym z wielką ochotą. A szło mu wszystko jak z płatka. Nie minął rok, gdy już Maciek tak zasobny był a tak u niego wszystko ślicznie się udawało, że mu sąsiedzi zazdrościli. Już mu i żonę swatano, ale nie chciał się żenić, dopóki się dobrze nie rozpatrzył. Jednego wieczoru, gdy na przyzbie sobie siadłszy, chleb zajadał i serem zakąsał, patrzy, drogą jedzie wóz, krowa chuda z wołem do niego zaprzężona, a na wozie jeden z braci jego siedzi napity, drugi leży, - jadą i kłóć się. Zobaczywszy Maćka, zdziwili się mocno i stanęli...

-Cóż to, ty tu służysz, a jak się gospodarz nazywa co cię wziął?

Na to Maciek śmiejąc się, powiada:



-Tak się zowie jako i ja... nie ma go teraz w chacie, wstąpcie proszę, bo oto chłopak wieczerzę przygotowuje, będzie na nas trzech.

Bracia z wozu wysiadłszy, do chaty szli, dziwując się zamożności i porządkowi; i posiadali za stołem. Maciek piwa kazał przynieść i braci częstował. Zaczął im opowiadać o gospodarstwie, o zbiorze o dostatkach, aż w końcu śmiejąc się, dołożył:

-Widzicie, że mi Pan Bóg poszczęścił, bo gospodarzem, u którego służę, ja sam jestem, a wszystko co tu widzicie, moje!

-Jakże to może być! - zawołali bracia - kiedyś goły jak palec z domu wyszedł.

-A no, daliście mi przecież starą ojcowską siermięgę, a w niej znalazłem, co mi tatulo przeznaczył.

Porwali się bracia za włosy, widząc, że się oszukali przez chciwość swoją, bo chata i gospodarstwo Maćkowe więcej było warte niż ojcowizna. Poczeli więc krzyczeć i wymyślać, że oszukał ich i okradł.

-Wiecie co? - rzekł na to Maciek - gorsza mówicie ojcowizna, gospodarstwo u was podupadło, krowę widzę do woza zaprzęgacie. Mówicie, żem was pokrzywdził, głowa za głowę, - zamieńmy się.

Bracia poszli się zastanowić. Maćkowa część lepsza była od ich obu razem. - Zgoda! zawołali, ruszaj ty do naszej chaty, my bierzemy twoją, a wynoś się zaraz jak stoisz!

-Tylko starą siermięgę ojcowską zabiorę z sobą, i bywajcie zdrowi! - rzekł Maciek; - milsza mi ojcowizna choć nędzna, niż wszystko. Szczęść Boże! Skinąwszy na swego sierotę, poszedł do wozu krową zaprzęzonego, chcąc go z sobą zabrać bo mu się on należał wedle umowy, ale bracia i tego nie dali. Przepędzili go kijem za wrota.

Szedł Maciek znowu, ale co by się miał smucić, cieszył się bardzo. Dopiero gdy do chaty ojcowskiej doszedł i zobaczył ją pustą, kołkiem podpartą, w oborach nędzę, w stodole pustki, wszędzie brud i nieład, serce mu się okrutnie ścisnęło. Jeszcze obchodził powyłamywane płoty dokoła, gdy na jednym z nich, patrzy, siedzi srocza i ogonem wywija.

-Dobry dzień Maćku.

-A nie bardzo on dobry, - westchnął nowy gospodarz; - widzicie, co to tu za bieda, rąk nie ma za co zaczepić, jak ja sobie rady dam?

-Ale ba! - odparła jejmość z białym kołnierzykiem: - a Boża opieka? Jakoś to będzie. W komorze w rogu podłubcie, jest tam garnuszek dla was, co go matula zakopała.

Rozśmiała się pocziwa srocza i furknęła. Maciek choć doświadczył, że nie kłamała, ale nie bardzo chciał wierzyć. Jednak do komory poszedł, łopata poruszył ziemię, no - i garnuszek znalazł, ale dukatów w nim nie było, tylko talary, dobrą miarą około garnca. Panu Bogu dziękował, odwagi nabrał, i dopiero całe gospodarstwo na nowo wielką pracą i zachodem zaczął podnosić. A szło mu i tak jak z płatką. Nieraz zdawało mu się, że ojca i matkę koło siebie widywał, jakby czasem mu co szeptali i podpowiadali, a cieszyli się; niekiedy srocza na płocie siadała i wesołą z nim rozpoczęła rozmowę, a zawsze jakąś dobrą dała radę. Sąsiedzi niezmiernie się dziwili, że głupi Maciek był tak rozumny i szczęśliwy, ale że się wygadać i chwalić nie umiał, nazywali go głupim Maćkiem i żartowali z niego. Smutno mu o było, bo już się dla gospodarstwa i z tęsknoty, że sam jeden został, żenić się chciał, a za głupiego Maćka nikt córki nie chciał dać. Gdzie się tylko zeswatał, odprawiano go z kwitkiem, aż jednego razu, idąc poza wsią, pod płotem, patrzy, siedzi dziewczątka obdarte i płacze. Stanął i pyta:

-Co ty za jedna? Co tobie jest?



Z wielkiej żałości i płaczu, zaczęła opowiadać powoli, że jej matka umarła i tak sama jedna została na świecie.

Serce mu się ścisnęło na tę niedolę patrząc, a że jej sam skosztował ulitowawszy się nad sierotą, wziął ją za rękę i poprowadził do sołtysowej żony, Barciechy.

Barciecho, matko - rzekł: oto biedna sierota jest, która przytulku nie ma, mnie jej do chaty brać nie godzi się, bo tam matki i opieki nie znajdzie, przyjmijcie wy ją i wychowujcie jak najlepiej, a ja zapłacę... I choćby nie wiem co miało kosztować - niech u was sierocie dobrze będzie!

Zgodziła się na to sołtysowa, myśląc zaraz, że i posługę mieć będzie, bo jej sierota i ziela przyniesie, i gęsi popasie i wody zaczerpie, i Maciek głupi zapłaci jeszcze. Sierotka została u niej a Maciek się o nią często dowiadywał i tak mu w oczach rosła, a piękniała, że już myśleć zaczął, żeby się z nią ożenić. Sierotka przez wdzięczność, bardzo się do niego przywiązała i gdy miał przyjść, czekała na niego na drodze z uśmiechem i dobrem słowem. Sołtysowa się też jej odchwalić nie mogła, bo była pracowita, zręczna i roztropna.

Upłynęło parę lat, gospodarstwo Maćkowe szło znowu doskonale a ojcowizna tak się polepszyła, że mu sąsiedzi zazdrościli.

-Nie ma to jak głupim być, - mówili, - człowiek ma szczęście. Ot i ten Maciek, niezdara, do trzech liczyć nie umie, a tak mu idzie, jak po maśle.

Jednego razu, gdy Maciek wracał z pola i chciał sierotkę swą odwiedzić, nie znalazł jej jak zwykle w podwórku, ani przy studni. Patrzy, w progu sołtysowa stoi i fartuchem łzy ociera. Tknęło go coś, zbliżył się.

-Nie ma naszej Marysi! - rzekła. - Wczoraj jacyś wielcy państwo przyjechali i wzięli ją jak swoją, powiadając, że ich była. Nawet się jej z tobą pożegnać nie pozwolili, z czego mocno płakała i kazała tylko powiedzieć, że póki żywa o tobie nie zapomni.

Pocziwy Maciek co by był miał się martwić, że ją utracił, począł Panu Bogu dziękować, że ją szczęście spotkało, ale poszedł do domu jak struty... Nic mu już w smak nie było.

Jakoś wkrótce po tym, jednego dnia, kiedy siedział nad misą klusek i jeść mu się nie chciało, posłyszał huk wielki: wpadli do chaty bracia jego, którzy już gospodarstwo od niego odebrane zmarnowali, i precz go wygnali z ojcowizny jak przywłaszczyciela, odgrazając się, że zabiją, jeżeliby się śmiały pokazać i o cokolwiek upominać. Maciek nawet nie sprzecząc się, za kij wziął i poszedł w świat.

Idzie więc, idzie polem, - aż szóstego dnia spotkał przy dworze dziewczátko, niby ową sierotkę, ale tak wystrojoną i wypiękniałą, że mu ją trudno było poznać. Ta zaś Maćka z daleka od razu poznawszy, rzuciła mu się na szyję i szybko do swej rodziny zaprowadziła, jako dobroczyńcę, co ją w biedzie ratował. Został Maciek przy dworze, niby w służbie, a jak go lepiej rodzice poznali, że sierotka bardzo go kochała, wydali ją za niego... Trudno uwierzyć, ale tak było, bo i mnie na wesele prosili, i ja tam byłem, miód, wino piłem... po brodzie ciekło, w gębie nic nie było... I koniec.